NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 32 Katowice, dnia 5-go sierpnia 1928

Niedziela dziesiąta po Zielonych Świątkach.

LEKCJA

z I. listu św. Pawła do Koryntjan w rozdziale XII., w. 2—11.

Bracia! Wiecie, iż gdyście pogany byli, do niemych bałwanów, jako was prowadzono, szliście. Przetoż oznajmuję wam, iż żaden w Duchu Bożym mówiąc, nie mówi przekleństwa Jezusowi. A żaden nie może rzec: Pan Jezus, tylko w Duchu świętym. Są zaś różności darów, lecz tenże Duch. I są różności posług, ale tenże Pan. I są różności spraw, ale tenże jest Bóg, który sprawuje wszystko we wszystkich. A każdemu bywa dane okazanie Ducha ku pożytkowi. Albowiem jednemu przez Ducha bywa dana mowa mądrości; a drugiemu mowa umiejętności według tegoż Ducha; inszemu wiara w tymże Duchu; drugiemu dar uzdrowienia w tymże Duchu; drugiemu czynienie cudów; drugiemu proroctwo; drugiemu rozeznanie duchów; inszemu rozmaitość języków; a drugiemu tłumaczenie mów. A to wszystko sprawuje jeden a tenże Duch, udzielając z osobna każdemu, jako chce.

EWANGELJA

u św. Łukasza, rozdział XVIII., wiersz 9—14.

W on czas: Powiedział Jezus do niektórych, co dufali sobie, iż są sprawiedliwi, a pogardzali innymi, taką przypowieść: Dwóch ludzi weszło do świątyni na modlitwę: jeden faryzeusz, a drugi celnik. Faryzeusz, stojąc, tak się w duszy modlił: Boże, dziękuję Ci, że nie jestem jako inni ludzie: drapieżcy, niesprawiedliwi, cudzołożnicy, lub też jak ten oto celnik. Poszczę dwakroć w tygodniu; składam dziesięciny ze wszystkiego, co nabywam. Celnik zaś, zdaleka stanąwszy, nawet oczu nie chciał podnieść w niebo, ale bił się w piersi, mówiąc: Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! Powiadam wam, że ten odszedł do domu swego usprawiedliwiony, a nie tamten; albowiem każdy, kto się wywyższa, będzie poniżon, a kto się uniża, będzie wywyższon.

NAUKA.

Jest to zadanie nasze, abyśmy stali się świętymi, jako świętym jest Pan i Zbawiciel nasz. Nie miał on żadnej innej woli nad wolę tego, który go posłał, pełnić zaś tę wolę Ojca swojego Niebieskiego było Mu jakoby chlebem powszednim i dla tego też przyszedł, nie iżby Mu służono, lecz aby drugim służył; aby służył Ojcu, który Mu dał polecenie, aby służył ludziom, których zbawieniem się zajmował.

Kiedy się przeto zapytam was: co czynicie? wtedy lepsi z was gotowi mi odpowiedzieć: „Nam także o to chodzi, nie iżby nam służono, lecz abyśmy służyli Bogu i bliźnim. I dlatego też z zaprzaniem się samych siebie ubiegamy się codziennie wśród pożytecznej naszej dla ogółu pracy nie tyle o naszą korzyść, ile o to, co przynosi błogosławieństwo bliźnim naszym; dla tego wyrzekamy się wszelkich zabaw i rozrywek, abyśmy tem godniej i wierniej odpowiedzieć mogli zadaniu powołania naszego; dlatego dopełniamy święcie wszystkich powinności naszych z gorliwością, której nam nawet przeciwnicy nasi zaprzeczyć nie mogą. Pracujemy zarówno dla wszystkich, tak wielkich, jak małych tego świata, tak dla tych, co się nam niewdzięcznością za to wypłacają, jak dla tych, którzy usiłowania nasze umieją uznać i ocenić".

Dobre jest zaiste to świadectwo, najmilsi! które o sobie składacie, lecz ponieważ je sami o sobie wydajecie, przeto też może jeszcze nie jesteście takimi, jakiemi byście być powinni, lub być mogli; a nawet lękam się, czyście już za to zapłaty waszej nie odebrali. A chociażby też nawet ludzie obcy o was podobnie świadczyli, jeszcze to nie wystarcza wcale, aby wszystkie wasze sprawy miały już być dobremi i pełnemi zasług w obliczu Boga. Jako bowiem znajdują się ludzie pełni pychy i zarozumiałości ze względu na dobra swoje i majątki: jako są pyszni i nadęci ze względu na skarby swoich nauk i umiejętności, tak też niemało jest takich wyniosłych w duchu, którzy pysznią się z dobrych swoich uczynków.

Teraz zastanówcie się, Najmilsi! czy też pobudką do czynów i postępków waszych, nie były wam jakie przemijające względy światowe, jakie ziemskie korzyści i widoki? a jeśli zaprzeczyć tego nie będziecie mogli, o wyrzućcie z serca swojego chociażby sam cień pychy i próżności i wyznajcie, że sami z siebie nic nie możecie, że wszystko dobro wypływem jest łaski Bożej, a taka pokora uświęci całe życie wasze i życia tego sprawy i czynności.

Pokora prawdziwa uświęca cierpienia nasze. Czy pełni pokory postępujecie po tej drodze cierniem i kolcami najeżonej, nie z przymusu, ale z dobrej woli, z miłości Boga, który sam jeden wie najlepiej, co może posłużyć do waszego zbawienia? Czy nie szemrzecie, czy nie wyrzekacie, czy przypadkiem nawet nie bluźnicie przeciw Opatrzności Bożej i świętym zrządzeniom? O, jeśli chcecie, aby wszelkie cierpienia i dolegliwości wasze mogły podobać się Bogu, trzeba wam nauczyć się znosić takowe w pokorze i w prawdziwem poddaniu się woli Bożej! Nie trzeba wyrzekać wcale, gdy was dostojnych spotka poniżenie, was bogatych ubóstwo, was zdrowych choroba: gdy nawet sama okrutna śmierć przekroczy próg domu waszego i wydrze wam osoby najdroższe sercu waszemu: ale wołać z Jobem sprawiedliwym: „Pan dał, Pan wziął, niech będzie imię Jego błogosławione!" Modlić się z Jezusem: „bądź wola twoja, jako Ty chcesz Ojcze, tak niech się stanie! Izali nie mam napić się z tego kielicha goryczy i utrapienia, smutku i boleści, który mi Ojciec podaje?" Takie bowiem pełne pokory serca usposobienie, goi najdotkliwsze nawet rany, pociesza i uspokaja, podnosi i krzepi, i prowadzi nas po drodze krzyża, jakoby przez ogień czyścowy za życia, sposobi nas na obywateli nieba. Amen.

Pożycie św. Franciszka z przyrodą

W rajskim ogrodzie żyło jagnię w spokoju z wilkiem, bez obawy przed jastrzębiem, śpiewała sobie ptaszyna, tańczyły muszki w około pająka i żaby żyły w przyjaźni z bocianem.

Jednak posłuszne na rozkaz Boski zwierzęta woli człowieka się poddają, jelenie towarzyszą mu w pochodzie, lew i tygrys ulega jego przewadze. On daje wszystkiemu nazwę, on jest panem i królem całej przyrody.

Chwal, Adamie, Stwórcę Twego, który cię tak wielce zaszczycił. Ponad wszystkie swe stworzenia postawił ciebie, tyś odblaskiem twego Boga, który ulepiwszy cię z ziemi, chwałą i dostojnością cię otoczył. Uznaj Jego łaskę, rzuć się na twarz przed tronem Boga, wysławiaj moc Stworzyciela, bo z prochu cię powołał.

Wszechświat sławi święte rządy Boskie, Jemu ku chwale jaśnieją słońca, Jemu ku chwale gwiazd miljony przepisanymi wiernie pędzą torami, dla Niego wszystko żyje i oddycha; człowiecze, prochu, ty masz tej chwały być duszą, zapach twej miłości powinien razem z kadzidłem wszechświata ku Niemu się unosić.

Szczęście się zapadło, uciecha niedługo trwała, raj zawarty został wskutek grzesznego upadku. Niebo rozgniewane. Wszelkie stworzenie podnosi bunt przeciw człowiekowi. Niewolnikiem został on, który przedtem był królem. Ziemię pustoszą zdziczone zwierzęta, zewsząd grozi choroba i śmierć. To jest skutek grzechu! Chciał równać się z Bogiem! Przeklęta ziemia!

Lecz cóż za dziwy! Czy nam drugi Adam powstał, lub czy inny jaki człowiek z grzechowego jarzma się wyłamał!

Święty Franciszek połączywszy Serafinów ogień z niewinnością, odniósłszy zwycięstwo nad żmiją w własnem sercu się gnieżdżącą, oczyszczony pokutą wyznał przed Bogiem swoją nicość, w miłości się z Bogiem pojednał i — odzyskał utraconą przewagę, nad przyrodą.

Kroczy po błoniach ubogi prostaczek, boso, — włosiennicą przyodziany, opasany powrozem, na twarzy jego odbija się blask niebieski, złote promienie otaczają czoło.

Wesoło skacząc biegną do niego jagnięta, wdzięcznie brzęcząc dolatują pszczoły, różne ptastwo krąży ponad nim i spoczywa spokojnie na ramionach jego.

Pan Jezus rozkazał uczniom swoim imię Swoje po całym świecie rozgłaszać, więc też święty Franciszek wszystkim stworzeniom słowo Boskie opowiadał. I chętnie go słuchały i z wielkiem przywiązaniem do niego się garnęły. Siostrami, braćmi je nazywał, świętą miłością ku nim pałał, bo tak jak on z łaski Boskiej żyły.

Przyszedłszy razu pewnego do miasta Bewagny, gdy piękny śpiew ptasząt usłyszał, w ten sposób się do swych towarzyszów odezwał;

„Zaczekajcie chwileczkę, aż przemową do braci ptasząt obowiązkowi memu zadość uczynię: Wy, drobne ptaszęta, powinniście waszemu Stwórcy wesołemi pieśniami się wywdzięczać, że was tak bogato przyodział w różnobarwne pióra, że wam dał skrzydła tak doskonałe. Wyście z wszystkich stworzeń najzacniejsze, bo wam wolno aż do nieba się unosić, bujać po najczystszych przestrzeniach. W nocy mieszkacie w spokojnie szumiących borach, gdzie ciepłe macie gniazdeczka, w których słodko marząc nocujecie bez troski i kłopotu, gdyż Stwórca nad wami czuwa. Każdego poranku jego dobroć i troskliwość was zdumiewa, bo nie umiejąc orać, ani siać, wystarczający macie pokarm. Za to też ku radości Boga najpiękniejsze piosnki pochwalne i dziękczynne powinniście śpiewać“.

Gdy mąż Boży tak prawił, ptaki milcząc nań patrzały. Ale kiedy po skończonem kazaniu cichą modlitwę zmówił i je błogosławił, natychmiast, jakby rozumem obdarzone w obłoki uleciały i radosnym chórem potęgę Stwórcy swego wysławiały. Ze wszystkich ptaków najbardziej polubił św. Franciszek synogarlicę. Po drodze do miasta Syeny spotkał młodzieńca niosącego parę synogarlic na targ, aby je sprzedać. Uprosił dla nich wolność i życie.

„Nie sprzedawaj“, rzekł do młodzieńca, „miłych ptasząt, które według przykazania Boskiego mają być dla nas przykładem. Matka Niepokalana wykupiła dziecię swe parą gołębi. Powierz je mojej opiece“.

Młodzieniec chętnie Świętemu gołębie razem z gniazdem oddał. Przytulając do piersi, zaniósł je do klasztoru, gdzie z wielkiem przywiązaniem do zakonników na wolności żyły.

Gdy św. Franciszek powracając z Hiszpanji do góry Alwernji się zbliżał, z wszystkich stron niezliczona liczba ptasząt na przywitanie jego się zleciała. Siadły mu na piersiach, na ramionach, na głowie, dolatywały do ust i oczu, dzióbem niby je całując, trzepotały skrzydłami i nie posiadały się z radości przybycia swego przyjaciela.

Rzekł do towarzysza swego:

„Kochany bracie, Boska wola widocznie, abyśmy tu wypoczęli, gdzie ptaki mile nas w gościnę zapraszają“.

Tam gościli dłuższy czas.

W ten sposób nieustannie wzajemna przyjaźń pomiędzy św. Franciszkiem a ptastwem wzrastała.

Najmilszy z zwierząt czworonożnych był Świętemu Franciszkowi baranek.

Zbawiciel świata, jak baranek dał się cierpliwie na śmierć zawieść, na krzyżu wisząc, wszystkim — wszystkim bez wyjątku nawet katom swoim przebaczył.

Dla tego też św. Franciszek skoro koło pastwiska przechodził, zawsze trzodę pozdrowił. Owieczki zbliżając się do niego na swój sposób uszanowanie mu oddawały i bekiem o błogosławieństwo prosiły.

Razu pewnego przyniesiono do furty klasztornej jagnię. Św. Franciszek natychmiast je wpuścił, napomniał w łagodny sposób do porządku klasztornego i nauczył skromnego zachowania podczas służby Bożej. Baranek pojął przestrogę nauczyciela, był pasterzowi swemu posłuszny i na głos dzwonka razem z braćmi do kościoła biegł. Gdy zakonnicy w pieśniach Najśw. Pannę wielbili, która nam baranka bez zmazy porodziła, natenczas kładł się przed obrazem Marji w wielkim ołtarzu umieszczonym, a kiedy kapłan chleb w prawdziwe Ciało Zbawiciela zamieniony podnosząc obcemu ludowi pokazywał jagnię, klęcząc i pokornie głowę chyląc Chrystusowi cześć oddawało.

Ptasząt, owieczek opiekunem był św. Franciszek, wilków pogromcą.

W okolicy pięknego miasta Gubio żarłoczny wilk dużo szkody wyrządził. Obywatele miasta postanowili rabusia ubić. Ale św. Franciszek tę zdobycz dla siebie wyprosił. Nie pomogły ani prośby ani modły, — bezbronny na odszukanie wilka wyszedł.

Co się dzieje? Wobec świętego męża zapomniał drapieżny wilk swej wściekłości, potulny jak owieczka do stóp św. Franciszka się przysuwa, który w te słowa do niego przemawia;

„Bracie wilku, pustoszysz okolicę, mordujesz trzodę i bydło, obywatele miasta z twej winy cierpią niedostatek, folgując złym chuciom, niweczysz boskie stworzenia. Od tej chwili zabraniam ci, abyś z rabunku żył, chociażby wilcza twa natura do tego cię pędziła. Jestem przekonany, żeś się nam z tak niecnej strony jedynie wskutek głodu przedstawił, wybaczam ci, ale daj słowo, że skoro na wystarczającym pokarmie ci nie zbędzie, nigdzie się nie włamiesz.

Wilk na znak zgody spuścił głowę, św. Franciszek podaje mu rękę.

„Dajże mi teraz zastaw, że się na moje warunki zgadzasz".

Wilk włożył łapę w rękę Świętego na znak zawartego układu i pobiegł za nim do miasta, w którem się wiadomość o tym dziwie już była rozgłosiła.

Mieszkańcy miasta z takiej przyjaźni i z takich odwiedzin nie bardzo byli zbudowani. Więc tak się do nich św. Franciszek odezwał:

„Otóż macie wilka, ale żeby mi nikt nie śmiał mieć do niego żalu, bo dał przyrzeczenie, że od dzisiejszego dnia nikogo nie zaczepi; waszą powinnością będzie postarać się dla niego o pożywienie. Wilk dotrzymaniem słowa się odwdzięczy".

„Zgadzamy się", zawołali obywatele, „twoje słowo nam wystarczy, codziennie dostanie wilk chleba i mięsa, starannie go będziemy sycić".

Przeszło dwa lata miał wilk od obywateli miasta, posłusznych na rozkaz św. Franciszka, sute pożywienie.

Któż policzy wszystkie dziwy, przez które Pan Bóg swego sługę zaszczyca, kto znajdzie godny wyraz na miłość, która w sercu świętego Franciszka dla wszelkiego stworzenia pałała? Gdyby w jego mocy było, wydałby św. Franciszek prawo, aby w czasie Bożego Narodzenia na całej kuli ziemskiej ptastwo obficie karmiono, nakazałby w tym dniu dla bydła najlepszego owsa dosypać, bo w ten dzień powinno się wszystko radować, wół w stajni, ptak w powietrzu, w ten dzień powinien się każdy żywioł weselić, bo świat ujrzał wieczne zbawienie.

Przed śmiercią swoją wyprosił św. Franciszek u papieża Henorjusza dla siebie łaskę, że mógł wziąć udział w obchodzeniu uroczystości Bożego Narodzenia w włoskiem mieście Brescji. Tu poraz pierwszy w skalistej jaskini żłób w przecudnym świetle jaśniejący wystawił. Przenajświętsze Dziecię, Józef i Najświętsza Panna, pasterze z owieczkami, wół i osioł obrazowo przedstawieni być mieli. Żłób oznacza wielki ołtarz, na którym się Syn Boski na zbawienie ludzkości Przedwiecznemu Ojcu swemu ofiarował.

W pochodzie z pochodniami zbliżają się bracia, — wtem skowronek zanucił wesołe gloria, niezliczona liczba ptaków nad jaskinią się ulatując, wesołym śpiewem mu wtórowała, owieczki zewsząd tłumnie się cisną, zroszone kwiaty sypią perłami, wszystko spieszy, aby Dziecięciu w żłobie złożonemu bić czołem.

Św. Franciszek służył do mszy św. potem w kazaniu zaczął o dziecięciu w Betlejemie narodzonem prawić, unosił się nad nieograniczoną miłością Boga, że jedynego najmilszego syna zesłał na odkupienie świata. Bóg ubogo narodzony leży w stajni położony, na słomie, w twardym żłobie spoczywa dziecię Królewskie, Pan Zastępów, Najświętsza Matka nie ma dla Niego wygód, przepysznego pałacu, jeno gołe ściany, a służba Jego — wół i osioł. Gdzie, któż na świecie ubożej się rodził? O dziecię, nie broń nam wstępu do stajni, abyśmy wspólnie z św. Franciszkiem hołd Ci oddali.

Igraszka miljonera.

I.

Pewnego ranka zimowego, gdy mieszkańcy miasta X. w Stanach Zjednoczonych Ameryki wstali, spotkała ich nadzwyczajna niespodzianka. Oto na murach i domach ujrzeli wielkie ogłoszenia na żółtym lub czerwonym papierze, a na nich następujące ogłoszenie:

„Baczność! „Baczność! „Baczność!

Pan John Mendson, znudzony wielce, szuka wzruszeń, aby się rozerwać. W tym celu odzywa się do ludności, której głupota jest mu znana.

John Mendson uwiadamia wszystkich potrzebujących oraz takich, którzy udają, jakoby nimi byli, że pozwoli im, po jednemu zawsze, wejść do skarbca w piwnicy swego domu, we wtorek i piątek przyszłego tygodnia.

Każdemu wolno w niej pozostać pięćdziesiąt sekund a co w tym czasie pieniędzy zabrać zdoła, stanie się jego własnością.

Piętnaście schodów prowadzi do skarbca. Brama żelazna będzie otwarta. Jednakże kto się na to odważy, musi wejść, zabrać co chce i wyjść w czasie między pierwszą a pięćdziesiątą minutą. Jeżeli w tym czasie nie wyjdzie, silni ludzie go pochwycą — odbiorą mu pieniądze i wyrzucą go na bruk.

Brama zostanie otwarta o 2, a zamknięta o 4-tej godzinie. podp. John Mendson".

Gdy wieść o tem ogłoszeniu w mieście się rozeszła, powstał rozruch. John Mendson był znany z dziwactwa; nikt jednak nie mógł przypuścić, ażeby zdobył się na taką rzecz. Na ulicach ludzie się gromadzili, o niczem innem nie mówiąc.

— Warjat! — głosili jedni.

— Przyjaciel ludzkości — wołali inni.

— Dziwak — wzdrygali ramionami inni.

— Komedjant — dodawali jeszcze inni.

Każdego dnia tłumy gromadziły się w pobliżu domu Mendsona i rozprawiały żywo. Nikt nie myślał o pracy, lecz z nieopisaną niecierpliwością oczekiwał wtorku następnego tygodnia.

Podczas tego John Mendson siedział spokojnie w swojem biurze i załatwiał interesy, jakby nigdy nic. Wszyscy byli wzburzeni i podnieceni, on jeden spokojny.

II.

Nakoniec nadszedł wtorek; gdy słońce zeszło, ujrzano nieprzeliczone tłumy ludzi w ulicy, przy której dom miljonera był położony. Nikt nie myślał się ruszyć ze swojego miejsca przed godziną czwartą po południu; nikt nie jadł, nie pił, a wszyscy pragnęli jedynie pieniędzy. Jedyną troską każdego z czekających było, aby mógł się docisnąć, jaknajbliżej domu Mendsona.

Cały ruch na ulicy musiał ustać. Tłumy stały jak mur i gotowe były stoczyć najkrwawszą walkę o to, ażeby z miejsca ruszyć się nie potrzebowały.

Tymczasem John Mendson gotował się na godzinę drugą. Z zimną krwią rozważał wszystko dobrze, aby uniknąć nieprzyjemnych niespodzianek. Na pierwszym i ostatnim schodzie postawił po czterech bardzo silnych ludzi. Odziani oni byli skórzanemi szaty a za pazuchą mieli długie noże — od przypadku. Przed bramą stanęło szesnastu, nie mniej silnych ludzi, w dwóch rzędach, tak blisko siebie, ażeby tylko jeden człowiek mógł się między nimi przecisnąć. Brama dolna przy ostatnim schodzie była tak sztucznie urządzona, że w razie potrzeby sama się zamykała.

Główną piwnicę skarbca, trzydzieści stóp długą, oświecała latarnia. Szybki jej niebieskie, czerwone i białe, ciągle się zmieniały, oświetlając po czarodziejsku stosy złota i srebra, złożone w przedziałach przy murze i odgrodzone żelaznym płotem, metr wysokim. W innych przedziałach znajdowały się perły, drogie kamienie i inne kosztowności, te jednakże były zamknięte. Tylko przedziały ze złotem i srebrem stały otworem dla tych, którzy po pieniądze do skarbca wejdą. Przy nich było czterech ludzi, na straży. Chodzili oni koło tych skarbców obojętnie, jakby nie złoto, lecz marne rzeczy tam leżały.

Wprost naprzeciwko bramy wisiał zegar, wskazujący pięćdziesiąt sekund; każdą sekundę oznaczono czarną kreską, każde pięć sekund odnośną cyfrą.

Obrachunek p. Johna Mendsona był bardzo prosty. Przypuściwszy, że człowiek, który do skarbca wejdzie, zdoła zachować zimną krew, i przytomność umysłu, więcej nad 700 dolarów w przepisanym czasie wziąć nie zdąży. Na wkładanie do kieszeń' lub do worka bowiem zużyje dosyć dużo czasu, na wejście i wyjście nie mniej. Mendson spodziewał się, że nikt dłużej jak trzydzieści pięć sekund brać pieniędzy nie będzie mógł. Niechby co sekundę garść wziął; więcej jak ośm do dziesięciu dolarów w ręce mu się nie zmieści. Choćby trzydzieści pięć garści wziął i choćby dwadzieścia dolarów za każdym razem łapnął, wielka rzecz! — razem wziąłby 700 dolarów!

Tak sobie to wszystko rozważał i obliczał John Mendson i doszedł do przekonania, że owe dwa dni mogą go kosztować najwyżej około 140 tysięcy dolarów, co wobec jego ogromnego bogactwa było drobnostką.

Natomiast widok tych ludzi, przychodzących po złoto, obiecywał mu wielką rozrywkę, a rozrywki, znudzony jego umysł potrzebował. Od dwuch lat już nic go na świecie nie raduje ani zajmuje. Nawet w lochach skarbca swego, wobec niezmiernych bogactw, pozostaje zimnym, jak głaz. Był czas, że w gromadzeniu skarbów znajdował uciechę, ale ten czas minął, a nuda ogarnęła Mendsona. Lecz teraz spodziewa się zobaczyć coś niezwykłego. Zobaczy twarze ludzi, płonące gorączką złota; oczy, ziejące żarem niepohamowanym; zobaczy, jak ludzie drżeć będą z wzruszenia, jak na widok skarbów, z których im wziąć wolno, ile chcą, cała ich natura zadygoce. Co za ciekawy widok! Teraz pozna serca ludzkie...

Zegar wybił drugą godzinę z południa ku ogromnem zadowoleniu wszystkich oczekujących. Jak oni czekali, jak chciwie spoglądali na wskazówki zegarów a jak leniwie czas im upływał. Lecz nakoniec chwila upragniona nadeszła i gdy zegar na pobliskim gmachu wydzwonił drugą, ogromny krzyk rozległ się w tłumie. W tej chwili brama domu Mendsona się otworzyła.

III.

John Mendson stanął w cieniu i patrzał. Szybkie kroki dały się słyszeć; pierwszy człowiek wbiegł do skarbca. Ubogi był lecz ochędożnie ubrany i młody. Wbiegł i stanął. Rzucił okiem do około, rozpoznając się w podziemiu skarbca. Nagle oczy szeroko rozwarł: ujrzał złoto. Skoczył, sięgnął ręką, pieniądze zadźwięczały. Ręce zaczęły mu drżeć, jednakże z wielką szybkością, brał, co mógł, i wkładał do kieszeni. Gdy je napełnił, spojrzał na zegar; jeszcze mu pozostało sześć i pół sekundy. Pochwycił kapelusz, nasypał doń złota i śmiejąc się dziko — w nogi, ku schodom. Jeszcze tylko trzy kroki! Jeszcze dwa, a będzie bogaty.

Lecz kapelusz, widocznie stary, wyszarzany na słońcu i przetarty, nie mógł wytrzymać ciężaru pieniędzy; pękł, a pieniądze z brzękiem upadły na ziemię. Młody człowiek wstrzymał się przez jedno okamgnienie, a wtem czterech silnych ludzi pochwyciło go i odprowadziło, albowiem tymczasem upłynęło pięćdziesiąt sekund i jedna. Nie bronił się, gdy mu pieniądze odbierano. Był jak nieprzytomny i cały drżący wyszedł po schodach na ulicę.

Tłumy poznały po jego bladości i wyrazie twarzy, że sztuka mu się nie udała. Wcisnął się między ludzi i zniknął.

Tymczasem do skarbca wszedł drugi człowiek. Mógł liczyć trzydzieści lat, był nędznie odziany, a na twarzy ślady troski. Drżał, jak w febrze. Przybiegłszy do pieniędzy, brał je w ręce, przesiewał — przez palce, rzucał w górę, nurzał dłonie w złocie i śmiał się a śmiał. Był to człowiek obłąkany. Służba Mendsona wzięła go i wywiodła ze skarbca.

Trzeci zachowywał się podobnie, jak pierwszy. I on nie zdołał wyjść przed upływem pięćdziesiąt sekund. Gdy mu skutkiem tego pieniądze odbierano, padł na kolana, krzyczał, wołał, opowiadał o żonie i dzieciach głosem drżącym. Nic to jednak nie skutkowało. Obranego ze złota wypchnięto na schody, po których wyszedł, zgnębiony i rozpaczony.

Po nim przyszli inni i coraz inni, aż nie wybiła czwarta godzina. Wtedy bramę zamknięto i rzecz była skończona. Tłumy się rozproszyły. Sto i trzech ludzi, mężczyzn i kobiet, próbowało owego dnia obłowić się w skarbcu Mendsona, lecz tylko dwom z nich się to udało. Jeden zebrał 750 dolarów, drugi nieco mniej. John siedząc w swojem biurze, mówił sobie, że tak tanim kosztem nigdy jeszcze nie użył tak wybornej rozrywki.

Na drugi dzień słońce wstało, jak zwykle, lecz w mieście rozszerzyła się wieść o licznych samobójstwach. Pewna część owych ludzi, którym się sztuka nie udała, z rozpaczy targnęła się na życie, jedni się powiesili, inni zastrzelili.

Władza miejska zaniepokojona tem niemało, zebrała się spiesznie na naradę i postanowiła zakazać Johnowi Mendsonowi, jego okropnej igraszki.

Gdy wieczór nadszedł, nowe samobójstwa się zdarzyły, ośmiu ludzi rzuciło się przed pociąg, pięciu wyskoczywszy z okien, rozbiło sobie głowy, piętnastu utopiło się w rzece.

Zgroza przejęła ludność, a potem przyszła wściekłość bez granic. Widziano gromadki ludzi przed pałacem Johna, szepcące między sobą i spoglądające z nienawiścią na bramę. Noc zapadła, osłaniając to, co gotowano odwecie.

O godzinie wpół do drugiej w nocy ujrzano tłumy, idące w milczeniu ulicą ku pałacowi Johna. W tłumie byli mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, bogaci i ubodzy, a wszyscy uzbrojeni w pałki, siekiery, rewolwery, młoty. Przed pałacem, pogrążonym w cieniach nocnych ludzie czekali, — John spał.

W tem wybiła druga godzina. Wtedy tłumy wydały wściekły okrzyk i zaczęły wywalać bramę. Potem wszyscy rozbiegli się po pałacu bijąc, tłukąc wszystko z nienawiści do człowieka, który to posiadał.

Johna wywleczono z łóżka. Zobaczywszy, co się dzieje, padł na kolana i błagał o litość jak ów biedny człowiek w skarbcu, lecz daremnie błagał. Porwano go, rzucono w górę, aż wreszcie spadł na ziemię, gdzie go roztratowano. Tymczasem ktoś podpalił sprzęty w jednej z sal i niebawem cały pałac stał się pastwą płomieni.

Taki był odwet za okrutną igraszkę miljonera.